

Zbigniew Czarnuch

W stulecie polskiego harcerstwa : Tucha i Donek : wspomnienie o Wiktorii i Olgierdzie Dewitzach

Nadwarciański Rocznik Historyczno-Archiwalny nr 17, 401-422

2010

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Zbigniew Czarnuch
Witnica

W stulecie polskiego harcerstwa. Tucha i Donek. Wspomnienie o Wiktorii i Olgierdzie Dewitzach

Całe swe życie, tak bogate w dokonania oraz intelektualne i emocjonalne doznania, związali w Warszawę i jej okolicami. Na miejsce swego wiecznego spoczynku wybrali jednak nie Mazowsze, a Ziemię Lubuską; cmentarzyk wsi Łasko pod Bierzwnikiem na skraju Puszczy Drawskiej. Wybrali strony, których wcześniej nie znali, nie licząc ostatnich lat życia, gdy w otoczeniu licznych przyjaciół zjeżdżali tu w sezonie na „letnisko” i tu także z podwarszawskiego Anina przenieśli urnę z prochami córki Ewy, taterniczki, ofiary samolotowego wypadku w Szwajcarii.

Byli typowymi reprezentantami tych środowisk polskiej inteligencji, które uwrażliwione na krzywdę innych, pielęgnowały etos lewicowości, idąc tropem Siłaczki i doktora Judyma, by w końcu doznać na tej drodze „ukąszenia heglowskiego” z jego wiarą w historyzm w marksistowskim wydaniu. Historyzm zapowiadający dziejową konieczność upadku kapitalizmu brzemiennego w niesprawiedliwy podział wytworzonych dóbr i zaborcze wojny oraz proroctwo nieuchronności nadejścia ery socjalizmu zwiastującej usunięcie przyczyn społecznego zła, które upatrywano w prywatnej własności fabryk, wielkich majątków ziemskich, banków. Ery zapowiadającej światowy bratni związek ludzi pracy.

Byli obydwójce Dewitzowie zarówno przedmiotami jak i podmiotami procesu ujawniania się podstawowych konfliktów ich epoki. Czasów dramatycznego ścierania rzeczników wielkich ideowych projektów: kultu rasy i narodu z wizją braterstwa ludów; egoizmu ubranego w pseudonaukową doktrynę społecznego darwinizmu z altruizmem; dogmatyzmu z tolerancją; totalitaryzmu z demokracją. Czasów terroryzujących jednostkę koniecznością opowiedzenia się bez reszty po tej czy innej stronie intelektualnych i politycznych barykad.

Polem społecznej służby Wiktorii Dewitzowej, zwanej przez przyjaciół Tuchą, było wychowanie, ze szczególnym uwzględnieniem harcerstwa. Jej mąż Olgierd zwany Donkiem na miejsce swej samorealizacji i społecznej służby wybrał usadowioną w otoczeniu władzy centralną Komisję Planowania w jej kolejnych organizacyjnych wcieleniach, identyfikując się ze środowiskiem idealistycznie nastawionej przedwojennej komunizującej inteligencji.

Napotkanie na szlaku mojego życia tych dwojga warszawiaków i znalezienie się w kręgu ich przyjaciół z perspektywy lat uznają za jeden z momentów kluczowych. Zarówno ze względu na ich wpływ na moje rozumienie swego miejsca w życiu i

umocnienie intuicyjnie wybranej postawy wobec innych, jak i na obdarzanie mnie przez ich środowisko dużą dozą życzliwości i przyjaźni. W szczególności w chwilach dla mnie trudnych, co umacniało mnie w wybranej życiowej drodze społecznikostwa i moją życiową lewicową światopoglądową orientację.

Wspólnie z nimi dane mi było także przeżywać dramat rozpadania się w gruzy naszego świata; wymarzonego pokojowego, sprawiedliwego jutra bratnich narodów. Świata zanegowanego z lewa przez antydogmatycznie nastawionych członków PRZP – radykalnych „rewizjonistów” – zbuntowanych zakłamaniami rzeczywistością realnego socjalizmu z jego zdeprawowaniem ludzi władzy przez karierowiczów, którzy w końcu z partią zerwali i zaczęli ją zwalczać. Zanegowanego przede wszystkim z prawa przez silnie powiązaną z katolickim Kościołem polityczną opozycję różnych odcieni, która ujawniła nam istotę klęski systemu na płaszczyznach nie tylko ekonomicznej czy doczesnych praw człowieka, ale także transcendentalnej, przez niedostrzeżenie znaczenia w życiu ludzi metafizyki i sfery sacrum. Wśród ludzi z wyroków historii przydzielonych do elitarnej drużyny podpalaczy lontu pod ładunek wybuchowy roznoszący twierdzą naszych przekonań znaleźli się wywodzący się z naszego harcerskiego środowiska instruktorskiej lewicy Jacek Kuroń i Antoni Macierewicz. Ludzie, którzy dołożyli swój wkład do wyzwolenia miażdżącej siły solidarnościowej lawiny zmiatającej nasz świat.

Bunt przejawiany na płaszczyźnie refleksji teoretycznej uświadomił nam, że owe „ukąszenie heglowskie”, brane przez nas za naukowe podstawy naszego rozumienia świata, było tylko kolejną utopią ludzkości, której uległy miliony marzycieli o lepszym świecie i nowym człowieku. Że było utopią, za wdrażanie której zabrali się ludzie przeżarci nienawiścią do nie „swoich”, sami siebie określający „psami łańcuchowymi komunizmu”, wspierani przez rządnych władzy i przywilejów bezideowych cynicznych polityków.

Zaliczałem się do licznego grona osób zafascynowanych osobowością Tuchy, podziwiających jej inteligencję i życiową postawę sympatii dla ludzi odrzuconych i gotowością stawania w ich obronie, co dane mi było doświadczyć także osobiście. Ze względu na rolę Dewitzowej w dziejach harcerstwa, zarówno przedwojennego, jak i konspiracyjnego w latach wojny, ale przede wszystkim ZHP lat Polski Ludowej, przewagę w tym środowisku jej przyjaciół stanowili instruktorzy harcerscy. Traktowaliśmy ją na prawach guru.

W dzieje harcerstwa wpisała się wyjątkowo znacząco, a miejscami dramatycznie. Dramatycznie nie tylko dla niej, ale także dla nas, tysiący harcerskich wychowawców młodzieży, którym przyszło żyć w czasach, gdy po dotychczasowych życiowych doświadczeniach, zwłaszcza wojennych, umysły nasze zaprzętała myśl: co mogą zrobić by ludzie przestali być wobec siebie wilkami, i co mogą zrobić, by żyli w sprawiedliwszym świecie.

W lutym 1945 roku, wraz z pojawieniem się w mych rodzinnych stronach, w Wieluniu, Armii Czerwonej, jako piętnastolatek, po pięciu latach szkolnych ferii, jakie w przyłączonym do Rzeszy Kraju Warty polskim dzieciom zafundowali hitlerowcy, mogłem nareszcie zostać uczniem i zapisać się do wymarzonego harcerstwa, bo o wojennych Szarych Szeregach nic mi wtedy nie było wiadome. Wiktoria Dewitzowa w latach 1945–1949 była naczelniczką żeńskiej gałęzi Związku Harcerstwa Polskiego

i w tym czasie często o niej była mowa w prasie harcerskiej i w krajowych dziennikach. Należała do ścisłej czołówki tych osób z przedwojennego i wojennego konspiracyjnego ZHP, które wywarły ogromny wpływ na przebieg powojennego rozdziału historii tej wielkiej organizacji polskich dzieci i młodzieży. Łącznie z podpisaniem na przełomie lat 1949/1950 decyzji o likwidacji ZHP jako samodzielnej organizacji, a kilka lat później zainicjowaniem kampanii za przywróceniem metodycznych wychowawczych walorów harcerstwa.

Jesienią 1945 roku pojawiłem się wraz z rodzicami na Ziemi Lubuskiej, w Witnicy, gdzie kilka lat później jako świeżo upieczonemu harcerskiemu instruktorowi w randze drużynowego dane mi było czynnie włączyć się w zainicjowaną pod dużym wpływem Dewitzowej akcję przeorientowania harcerstwa z organizacji prawicowej na zgodną z etosem polskiej lewicowej inteligencji. Inteligencji zauroczonej „Przedwiośniem” Żeromskiego i utopią szklanych domów, uwrażliwionej Sienkiewiczowskim „Jankiem muzykantem” i Reymontowską „Ziemią obiecaną”. Inteligencji owianej wizją Polski sprawiedliwej dla wszystkich jej mieszkańców niezależnie od wyznania i narodowości, utożsamianej z ideami socjalizmu w całej jego gamie od Edwarda Abramowskiego poczynając, na komunizmie w wersji leninowskiej kończąc.

Czy ja, ówczesny świeżo upieczony Lubuszanin-nastolatek, dowiadujący się o istnieniu Wiktorii Dewitzowej z prasy i książek, mogłem przewidzieć, że czterdzieści lat później, po jej śmierci w Warszawie, będę proszony przez jej bliskich, bym zabrał głos nad trumną, gdy zgodnie ze swą ostatnią wolą miała być pochowana obok męża i prochów córki Ewy tu, na Ziemi Lubuskiej? I dlaczego właśnie tutaj, w dorzeczu Drawy i Noteci, zapragnęli znaleźć wieczny spokój oni, ludzie całym życiem związani z Wisłą i stolicą?

TUCHA

1. Warszawa – lata trzydzieste

Wiktorija Piotrowska urodziła się 20 maja 1913 roku w Kijowie, w rodzinie lekarskiej, która w roku 1918 przeniosła się do Warszawy. Tu po ukończeniu gimnazjum im. Juliusza Słowackiego studiuje na Uniwersytecie Warszawskim polonistykę i pedagogikę, uzyskując w roku 1935 stopień magistra; po czym podejmuje pracę nauczycielki, między innymi w szkole Sióstr Zmartwychwstanek w Wawrze pod Warszawą. W roku 1936 bierze ślub z Olgierdem Dewitzem, prawnikiem i ekonomistą, synem Polki i niemieckiego pastora nacjonalisty, z którym zerwał wszelki kontakt, wybierając swą polską kulturą tożsamość. Olgierd obracał się w kręgu lewicującej młodej warszawskiej inteligencji, z czasem przechodząc proces zrewolucjonizowania i zbliżenia z komunistami. Przebywał w kręgu poznanego na studiach prawniczych Jana Kotta, wywodzącego się z asymilowanej rodziny żydowskiej, znanego później krytyka teatralnego, znawcę Szekspira, oraz kolegi Tuchy ze studiów, ukształtowanego przez harcerstwo Ryszarda Matuszewskiego, późniejszego znanego krytyka literackiego i publicysty, autora obszernego wspomnienia o Dewitzach zamieszczonego w Gazecie Wyborczej (25/26 XI 2006). Obracał się także w środowisku innych osób,

które w latach 1944–1945 kładły podwaliny władzy Polski Ludowej.

Lata studiów obojga przypadły na okres rodzenia się na uniwersytetach ruchu prawicowych polskich studentów – nacjonalistów, wymuszających na władzach uczelni wprowadzania wobec studentów żydowskiego pochodzenia tak zwanego getta ławkowego i ograniczenia liczby studentów tej narodowości. Najpierw w Wilnie (1931), potem w Krakowie (1932). W Warszawie do pałkarskich napadów na studentów żydowskiego pochodzenia organizowanych głównie przez członków Młodzieży Wszechpolskiej doszło w roku 1937. Był to okres szykanowania w Polsce Ukraińców i innych mniejszości narodowych, strzelania policji do strajkujących chłopów.



Były to czasy narastającej rozpiętości pomiędzy poziomem życia wąskiej grupy reprezentantów warstw uprzywilejowanych a wegetacją milionów tych, którzy na nich pracowali. Wydarzenia te, jak i inne aspekty rzeczywistości tamtej epoki, stanowiły płaszczyznę odniesienia dla postrzegania świata przez ludzi tego środowiska i kryształizowania się ich radykalnego życiowego programu.

Tucha bardziej niż polonistką była pedagogiem. A jako pedagoga mniej fascynowała ją dydaktyka, a bardziej wychowanie. Stąd nie mieszcząc się w roli nauczycielki, znalazła ujście swym wychowawczym pasjom, angażując się w harcerstwo.

Zrodzona w Anglii metoda wychowania chłopców na przyszłych wojskowych zwiadowców zwana skautingiem, której z czasem nadano wymiar także pozawojskowy, uniwersalny, w płaszczyźnie moralnej nawiązujący do kodeksu średniowiecznych błędnych rycerzy, natrafiła w Polsce na podatny grunt. Wychowawcy patrioci w obliczu narodowej potrzeby przygotowania młodych ludzi na przyszłych bojowników walki o niepodległość kraju, według żywych wciąż wzorców partyzanckich oddziałów powstania styczniowego, uznali skauting za metodę wyjątkowo w krajowych warunkach przydatną. Stąd w angielskim wzorcu przykrojonym do polskiej specyfiki wziął się ten cały militarny sztafaż: od bohaterów drużyn reprezentujących ludzi zbrojnego czynu, pieśni powstańczych i nazwy harcerz poczynając, przez zastępy, drużyny, hufce, chorągwie i główne kwatery, po program mający na celu przygotowanie młodzieży do radzenia sobie w polu i w lesie. Stąd wzięło się terenoznawstwo i pionierka, węzły i samarytanka, podchody i wzorowane na wojskowych gry terenowe oraz mundury i wzorowana na wojsku hierarchia stopni i funkcji, system rozkazodawczy, przysięga (przyrzeczenie) i puszczkańskie obozy z ogniskami i gawędami o obrońcach kresowych stanic. Stąd podchody i nocne alarmy w pełnym rynsztunku, uzbrojenie w białą broń („finka”) i system kar fizycznych w postaci „żabek”, stania pod masztem w pełnym rynsztunku czy praktyką „kocowy” jako elementu tradycji żołnierskiego „koleżeńskiego” samosądu. Ten system „wojskówki”,

złagodzony teoretyczną możliwością funkcjonowania rady drużyny, odnosił się do wychowania dzieci i młodzieży. Starszyzna, czyli korpus instruktorski, zorganizowana była jednak na zasadach demokratycznych.

Popularność harcerstwa w kręgach rozbudzonych patriotycznie dzieci oraz młodzieży pochodzenia inteligentnego, mieszczańskiego i szlacheckiego zbiegała się z upowszechnianiem w organizacji ogólnoeuropejskiej mody na wyprawy z miast w pola, lasy, nad wodę oraz wycieczki krajoznawcze. Atrakcyjność drużyn wzrosła w wyniku sławy zdobytej udziałem ich członków w walkach o niepodległość Polski, a po jej odzyskaniu w walkach o granice państwa, co ku nieszczęściu całego ruchu spowodowało szczególne zainteresowanie się organizacją przez partie polityczne. Harcerstwo stało się polem starć o wpływy na młodzież silnie związanej z Kościołem Katolickim endecji z piłsudczykami. Organizacją interesowały się też partie lewicowe.

Wyjątkowa atrakcyjność metodyki skautowej opracowanej z myślą o wychowaniu chłopców zainteresowała także działaczki ruchu kobiecego, które postanowiły przystosować ją do specyfiki wychowania dziewcząt. Efektem tego było pojawienie się w Polsce harcerstwa żeńskiego, w które Wiktoria Piotrowska a potem Dewitzowa zaangażowała się zgodnie z wymogami norm harcerskiego przyrzeczenia: „całym życiem”, upatrując w metodzie szanse na patriotyczne i społeczne wychowanie dziewcząt.

W żeńskiej organizacji harcerskiej zarysowały się dwa główne nurty. Pierwszy, wspierany przez endecję skupiał się na tak zwanej pracy nad sobą, czyli uprawianiu samowychowania w kontekście przygody na łonie natury, powiązania patriotyzmu z katolicyzmem i służbą bliźniemu rozumianą w kategoriach dobrego uczynku. Drugi, wspierany przez legionistów oraz środowiska lewicowe, samowychowanie umieszczał także w kontekście przygody wynikającej z kontaktu z przyrodą, ale chodziło tu nie o czystą naturę ale człowieka w niej usadowionego. Skupiono się na wychowaniu obywateli kraju uwrażliwionych na problemy społeczne, gotowych do angażowania się w ich rozwiązywanie. Wiktoria Dewitzowa związała się z nurtem drugim.

Od roku 1927 Tucha związana była z 47 Warszawską Żeńską Drużyną Harcerską prowadzoną przez Martę Dobrzyńską, wybitną reprezentantkę nurtu obywatelskiego, znaną jako obrończyni praw mniejszości narodowych. Drużyna była nietypowa, skupiała uczennice, studentki i dziewczęta pracujące. Także pochodzenia żydowskiego, co w ówczesnym harcerstwie głoszącym służbę „Bogu i Polsce” w wersji Polak-katolik było bardzo rzadkie. Drużyna działała przy gimnazjum im. Juliusza Słowackiego. Szkoła była zlokalizowana przy ulicy Wawelskiej w pobliżu baraków dla bezrobotnych. Tutaj w roku 1932 Tucha zorganizowała własną drużynę (3 WŻDH). Dyrektorka tej szkoły Helena Kasperowiczowa w monografii poświęconej tej placówce wydanej w roku 1986 pisała o drużynie Tuchy:

„Osią wszystkich poczynań była najczęściej opieka nad biednym, zaniedbanym dzieckiem bezrobotnych w mieście lub nędzna egzystencja dziecka zaniedbanej wsi. Zaś w Jednodniówce Szkoły z roku 1947 pisała: I jeśli ktoś mnie dziś zapyta, czy była dobrą drużyną, to właśnie będzie odpowiedzią: własny żywy nurt, szukanie drogi wśród męczących problemów życia, trwała wartość postę-

pu – które młodziutkie myśli wiązały z lepszą przyszłością Polski, aby Jej służył całym życiem”.

Cytat przytaczam za Antoniną Gurycką z jej książki p.t. „Tucha. Opowieść o Wiktorii Dewitzowej”, wydanej w Warszawie w roku 2006. Antonina Gurycka – profesor psychologii wychowawczej Uniwersytetu Warszawskiego, Polka wywodząca się z asymilowanej rodziny żydowskiej, była wychowanką „Trójki” – drużyny prowadzonej przez Tuchę. Z drużyny tej wywodziła się, także uważająca się za wychowankę Dewitzowej Zofia Zakrzewska, naczelniczka ZHP w latach 1956–1964.

Ten wątek służby harcerskiej występujący w „Trójce”, przejawiający się w programie zorientowanym na „tu i teraz”, kojarzonym z aktualnymi problemami społecznymi kraju, był przykładem szerszego procesu poszukiwań podejmowanych w harcerstwie żeńskim swej odrębnej programowej tożsamości. Tożsamości odmiennej od wojskowego etosu harcerstwa męskiego, zorientowanego generalnie do stanu „gdy zajdzie potrzeba” i nastawionego przede wszystkim na pielęgnowanie twardych cnót męskich i wychowanie przyszłych żołnierzy. Osią programową tego nurtu harcerstwa żeńskiego stała się idea „wędrownictwa”, rozumianego jako wędrowanie po społecznych problemach kraju przy odwołaniu się do metody „społecznego zwiadu”, podczas którego harcerki poznawały rzeczywistość Polski ze szczególnym uwzględnieniem środowisk grup społecznie wykluczonych. Wzorów reakcji na poznane zło szukano w tradycji pozytywizmu z jego pracą u podstaw, czego porywającym przykładem była Stanisława Bzowska – bohaterka *Siłaczki* Żeromskiego. Realizacja tego programu dała krajowi rzesze ofiarnych nauczycielek, lekarek, pielęgniarek, działaczek społecznych, dziennikarek i uczonych podejmujących badawczo kwestie ludzi skrzywdzonych przez los, historię czy podziały społeczne i światopoglądowe.

Zabarwiony odcieniem lewicowości program wędrownictwa napotykał na opór części instruktorek. Część z nich przeniosła to nastawienie także w warunki ZHP okresu po roku 1956. Echa tego podziału znajdziemy w recenzji Wiktorii Dewitzowej dotyczącej wystawy „Harcerki” zorganizowanej w Warszawie w roku 1986 w Muzeum Woli, w której Tucha pisze między innymi:

„Prawda, harcerstwo jako całość, w tym także żeński jego odłam, charakteryzowało się dużym zróżnicowaniem środowisk. Współistniały w nim środowiska społecznie postępowe obok konserwatywnych, niekiedy wręcz wstecznych. Mimo formalnej statutowej zasady apolityczności znajdowały odbicie w ZHP przeciwstawne często kierunki polityczne.

Wbrew historycznej prawdzie na obecnej wystawie wyeksponowany został i pozytywnie oceniony jeden tylko kierunek: nurt konserwatywny, sprowadzający harcerstwo do samodoskonalenia i «przygody». W oderwaniu od życia i istotnych problemów Polski, której przecież harcerstwo zawsze chciało służyć. Materiały o innej treści są na wystawie tylko formalnym dodatkiem.

Nie ma tutaj obrazu Organizacji Harcerek chlubnie kontynuującej polskie tradycje społecznikowskiego działania, nadającej tym tradycjom nowoczesny kształt.

Nie ma organizacji:

– która przez «zwiad harcerski» (czyt. J. Łapińska «Harcerka na zwiadach») i program «wędrownictwa» starszych dziewcząt (czyt. «Wędrowniczeki» wyd. przedwojennej GK Harcerki) uczyła dziewczęta dostrzegać problemy i kształtować wrażliwość społeczną;

– która w sprawnościach typowo dziewczęcych opieki nad dzieckiem i «służby samarytańskiej» (patrz stopień «samarytanki») rozwijała przyszłe zamiłowania zawodowe nauczycielek, lekarek dziecięcych i pielęgniarek o obywatelskim nastawieniu;

– która w trudnych latach przedwojennego kryzysu w kraju organizowała warsztaty zarobkowe dla dziewcząt bez pracy i zalecała drużynom opiekę nad dziećmi w barakach dla bezrobotnych.

– W cieniu zainteresowań organizatorów wystawy pozostała także praca Szkoły Instruktorskiej na Buczu. A przecież program jej wykraczał daleko poza harcerską przygodę i samodoskonalenie. Bucze rozwijało horyzonty myślenia w oparciu o poważną wiedzę, stwarzało okazję do konfrontacji i wymiany poglądów także na sprawy społeczne ówczesnej Polski, dawało fachowe przygotowanie instruktorkom specjalności. Nie przypadkiem w centrum kształcenia instruktorskiego harcerki działała szkoła rolnicza dla wiejskich dziewcząt z okolicy i prewentorium dla dzieci górników prowadzone po zuchowemu.

Dzięki takim metodom kształcenia kadry praca w drużynach harcerki nie tracąc nic z uroku przygody i zabawy, nabierała wartości pożytecznej służby społecznej i szkoły obywatelskich postaw”.

Po ukończeniu studiów i podjęciu pracy poza Warszawą oraz po ślubie z Donkiem prowadzenie drużyny Tucha przekazała następczyni, a pole swej harcerskiej aktywności znalazła w stołecznej chorągwi harcerki w referacie wędrowniczek oraz w Kręgu Instruktorów im. Mieczysława Bema (KIMB), skupiającym lewicowo zorientowanych harcerskich wychowawców obu gałęzi organizacji.

2. Czas wojny

W okresie aneksji Zaolzia przez Polskę w roku 1938 Organizacja Harcerki powołała w swej szkole instruktorskiej na Buczu (Śląsk Cieszyński) Pogotowie Organizacji Harcerki. Był to początkowo program przygotowania dziewcząt po 15 roku życia do spieszenia innym z pomocą w warunkach wojennych oraz klęsk żywiołowych. Szkolenie obejmowało umiejętności z zakresu służby sanitarnej, łączności, terenoznawstwa, służby gospodarczej, przeciwlotniczej, opieki zwłaszcza nad dzieckiem oraz systemu łączności terenowej w warunkach konspiracji.

W okresie wakacji letnich roku 1939 w ramach akcji „Służba Polsce” harcerki zorganizowały 75 obozów usytuowanych na pograniczu z Niemcami, podczas których prowadzono szkolenia dla poszczególnych rodzajów służb.

Olgiert Dewitz został wcielony do polskiej armii i po jej klęsce dostał się do niewoli. Tucha z córeczką Ewą i teściową zamieszkały w Aninie.

Na przełomie października i listopada 1939 r. Dewitzowa działała aktywnie w organizowaniu przy ulicy Pięknej w Warszawie Punktu Reedukacyjnego dla Dzieci Kalek -Ofiar Wojny tworzonego pod patronatem Polskiego Czerwonego Krzyża. Punkt zorganizowany w dawnym budynku szkoły był zarazem konspiracyjną siedzibą komendy Pogotowia Organizacji Harcerek, którego od roku 1942 Tucha została członkiem. Zaangażowała się także w prowadzenie domu sierot po rodzinach wojskowych o nazwie „Anusia” w Konstancinie, kwestując po zamożnych domach by zbierać żywność dla sierot.

Jako członkini Pogotowia OH dostała zadanie pokierowania akcją „M” (Młodzież). Był to program przeciwdziałania demoralizującemu wpływowi wojny i okupacji na postawy dzieci i młodzieży w oparciu o kontynuowaną konspiracyjnie pracę drużyn, dostosowaną do nowych warunków. W obliczu narzuconych niemieckich programów obowiązujących w czynnych szkołach Generalnego Gubernatorstwa wprowadzono akcję „HPG” (historia, polski, geografia). Program zakładał prowadzenie przez harcerki zajęć z tych przedmiotów podczas zbiórek, a także koleżeńskich spotkań czy rówieśniczych zabaw. Z myślą o młodzieży starszej wydawano pismo „Dziś i jutro”, którego ukazało się 65 numerów. Tucha była przez pewien czas jego redaktorką naczelną. W ramach akcji „M” Pogotowie OH organizowało także spotkania dyskusyjne o przyszłej Polsce z udziałem instruktorów Szarych Szeregów (konspiracyjnego harcerstwa męskiego) oraz reprezentantów innych organizacji politycznego podziemia o lewicowej orientacji.

3. W harcerstwie powojennym

Po wyzwoleniu Polski z okupacji hitlerowskiej przez wojska Armii Czerwonej, odrodzenie polskiej państwowości dokonywało się w kształcie uznawanym przez środowisko polskich komunistów. W zgodzie z doktryną uznającą ideowe i polityczne zwierzchnictwo ZSRR jako pierwszego państwa zapowiadanego bratniego związku ludów. Co w obozie niepodległościowym, ujmującym sprawy Polski w paradygmacie świata zbudowanego z państw niezawisłych, było odbierane w kategoriach rosyjskiego imperializmu i kolejnego rozbioru kraju.

W ruchu młodzieżowym odrodziły się między innymi także odrębne organizacje harcerek i harcerzy. Wiktoria Dewitzowa stanęła na czele Głównej Kwatery Harcerek w randze naczelniczki. Odrodzone struktury przedwojennego i wojennego harcerstwa ujawniły jego różne polityczne orientacje o rodowodzie międzywojennym. Szczególnie proces ten zaznaczył się w harcerstwie męskim. Jedni instruktorzy opowiedzieli się za dokonywanymi w Polsce zmianami ustrojowymi, inni wybrali apolityczne wychowanie dzieci i młodzieży, a jeszcze inni polityczną opozycję ze zbrojną konspiracją włącznie.

Główny front ideowej i politycznej konfrontacji występujący w harcerstwie przebiegał na linii: Mikołajczykowski Polskie Stronnictwo Ludowe wspierane przez silnie osadzony w organizacji kler katolicki z jednej strony a Polską Partią Robotniczą i Polską Partią Socjalistyczną z drugiej. Instruktorska prawica z jej partyzantkim etosem niepodległościowym, wzmocniona wojenną legendą Szarych Szeregów, mocno osadziła się w harcerstwie męskim, podczas gdy lewica ujawniła się bardziej w organizacji harcerek, których ruch wędrowniczek z jego metodą społecznych

zwiadów ukształtował etos społecznikowski z jego uczuleniem na społeczną niesprawiedliwość.

Wewnątrz organizacji harcerek starła się skrajna lewica skupiona wokół komunistki Pelagii Lewińskiej dążącej do upodobnienia modelu organizacji według wzorów radzieckich, czyli oderwania się od korzeni skautowych i rozwiązania ZHP, w którym męska jego gałąź była opanowana przez ludzi związanych z Armią Krajową. Umiarkowana lewica, reprezentowana przez Wiktorię Dewitzową, chciała zachować to wszystko co z pedagogicznego punktu widzenia w metodzie harcerskiej okazało się wartością godną obrony. Zamierzano natomiast dokonać przeorientowania w systemie wartości poprzez silniejsze zaakcentowanie pierwiastka służby społecznej oraz emocjonalnego związania wychowanków organizacji ze „światem pracy” rozumianym jako solidarność z robotnikami i rolnikami. Dążono także do ograniczenia wpływu kleru na harcerstwo.

Kościół w tym czasie aktywnie przeciwstawiał się parcelacji dużych majątków ziemskich i przekazywania ziemi bezrolnym chłopom, a także upaństwowieniu fabryk i banków, uznając to za naruszenie istoty usankcjonowanego w teologii naturalnego prawa nienaruszalności własności prywatnej, przeprowadzane reformy traktując jako zawłaszczenie i kradzież. Dla obrońców wywłaszczenia takie stanowisko było tożsame z sabotowaniem procesu dokonywanych „aktów dziejowej sprawiedliwości”. Kościół oskarżano o opowiadanie się nie po stronienie „wyzyskiwanego ludu”, a „wyzyskiwaczy”.

W pierwszym okresie wpływy na organizację mieli ludzie z kręgu Tuchy. Znalazło to wyraz w programie wprowadzonym w roku 1948 w obu organizacjach, zwanym Harcerska Służba Polsce (HSP), w którym przyjęto cztery kierunki programowe: 1 – udział harcerstwa w odbudowie zniszczonego wojną kraju; 2 – poznawanie zagadnień rolnych i leśnych poprzez udział młodzieży w zbiorach płodów rolnych i w pielęgnacji lasu; 3 – kultura i oświata; 4 – dziecko.

W tym samym roku w całym bloku krajów zwanych demokracjami ludowymi, dokonany został zwrot polityczny przejawiający się w ostrym kursie na „budowę socjalizmu”. W harcerstwie przejawiało się to w nasileniu procesu polaryzacji korpusu instruktorskiego z podziałem na silny obóz prawicowy i lewicę sterowaną przez centrum polityczne kraju i wspieraną przez aparat przemocy. Po dwóch latach zmagania w trudnej politycznej atmosferze napiętej ideowej walki o wpływy na młodzież ludzie umiarkowanej lewicy wraz z Wiktorią Dewitzową stanęli przed koniecznością jednoznacznego opowiedzenia się po którejś ze stron politycznej barykady.

W panujących wówczas politycznych międzynarodowych i wewnętrznych realiach ukształtowała się sytuacja typowa dla dziejowych momentów zwrotnych, w których świat postrzegany jest dwubarwnie i klimat polityczny wymusza opowiedzenie się za lub przeciw przy „tertium non datur”. W środowisku instruktorów harcerskich przejawiało się to w postaci konieczności zdecydowanego wyboru. Zachowanie dawnej metodyki i całego harcerskiego organizacyjnego obyczaju rodem ze skautingu i polskich militarnych tradycji wzmocnionych etosem AK, wraz ze symboliką w postaci lilijki i harcerskiego krzyża – odczytywane było przez obóz rządzący jako opowiadanie się po stronie „kapitalistów i imperialistów”. Znaczyło także obronę pozycji skompromitowanego, walącego się systemu kolonialnego i opowiadanie się

po stronie przeciwników przeprowadzonej w Polsce reformy rolnej, upaństwowienia fabryk i banków oraz stanie się obrońcą wypędzonych z Polski Niemców, uznających naszą obecność na ziemiach zachodnich za okupacyjny stan przejściowy, bowiem po ich stronie opowiedział się Watykan przeciwny wprowadzeniu stałego podziału administracyjnego Kościoła na Ziemiach Zachodnich i Północnych. W tych warunkach Tucha uznała, że opowiedzenie się po stronie zmian społecznych dokonywanych w Polsce jest sprawą istotniejszą niż obrona organizacyjnej odrębności, metodycznych wartości i kulturowej tożsamości ZHP. W konsekwencji spowodowało to jej zgodę na likwidację Związku i akceptację decyzji o zastąpieniu go dziecięcą organizacją wzorowaną na komunistycznym ruchu pionierskim.

Obroniono jednak do pewnego stopnia nazwę, bowiem powstała Organizacja Harcerska Związku Młodzieży Polskiej. Zachowanie w nazwie słowa „harcerz” w warunkach silnych politycznych nacisków na powielanie wzorca radzieckiego uznać można za małe, ale jednak zwycięstwo. Nie tylko o symbolicznym znaczeniu. Była to bowiem, jak się wkrótce miało okazać, szczelina ułatwiająca rychły powrót ZHP na arenę polskiego ruchu młodzieżowego.

Powstała w ten sposób organizacja przez swe silne związki z systemem szkolnym zatraciła aspekt atrakcyjnej przygody. Harcerze wyjeżdżali teraz nie na obozy, a na kolonie. W stosowaną w drużynach metodę krytycy nazwali „harcerstwem szarwarkowo (czyny społeczne) - akademijnym”. To powiązanie organizacji ze szkołami nadało jej jednak charakter masowy, obejmując także dzieci ubogich osiedli miejskich i mieszkańców wsi.

Dewitzowa była przekonana o tym, że złem było przerwanie zapoczątkowanego eksperymentu programowego HSP z roku 1948, traktowanego jako próba zachowania tożsamości organizacji i metody harcerskiej w nowych polityczno-społecznych realiach. I dlatego już w roku 1955 opublikowała na łamach teoretycznego pisma partyjnego „Nowe Drogi” artykuł poddający krytyce decyzje o tak dalekiej zmianie profilu harcerstwa i stając w obronie wartości metodycznych wypracowanych w harcerstwie przedwojennym. Artykuł wywołał szeroką dyskusję, która zapoczątkowała proces przemian. Po okresie „odwilży” i październikowym politycznym wstrząsie roku 1956 proces uległ zrewolucjonizowaniu, co doprowadziło do odrodzenia Związku Harcerstwa Polskiego w kształcie zbliżonym do przedwojennych doświadczeń ruchu wędrowniczek Organizacji Harcerek, wzbogaconego o pozytywne doświadczenia HSP z roku 1948 i także o to, co wnieśli instruktorzy harcerscy OH ZMP, a więc koedukację, silny nurt artystyczny i oddziaływanie na dzieci kolejnych społecznych środowisk. Za symbol tych przemian uznać należy wybór na naczelniczkę koedukacyjnego ZHP Zofię Zakrzewską – wychowankę Tuchy z jej przedwojennej drużyny, a na jedną z jej zastępczyń Martę Dobrzyńską. Instruktorzy odrodzonego harcerstwa męskiego wnieśli między innymi nurt powiązań z wojskiem i tradycjami powstańcami, które z każdym kolejnym rokiem ulegał spotęgowaniu, co z czasem przybrało między innymi postać tak zwanych „alertów”, dni w których wszyscy członkowie polskich drużyn w systemie rozkazodawczym w tym samym czasie wykonywali te same zadania. Narastał i ugruntowywał się lansowany przez środowisko instruktorów warszawskich kult okupacyjnych Szarych Szeregów i powstania warszawskiego. Patriotyzm typu wojskowego ze swej natury potrzebuje wroga. Ten

wojenny „duch drużyn” z jego potrzebą wroga nie sprzyjał przełamaniu tradycyjnych etnicznych uprzedzeń, między innymi wobec Niemców, Ukraińców i Rosjan. Drużyny harcerskie z pogranicza współpracowały z Wojskami Ochrony Pogranicza w tropieniu szpiegów, dywersantów i szmuglowników. Popularnością cieszyły się drużyny „Czerwonych beretów” kultywujące tradycje wojenne. Wielką popularnością cieszył się swego czasu słynny peerelowski szpieg Andrzej Czechowicz. Pojawiły się pomysły, by stał się bohaterem drużyn.

Podjęmowano także próby upowszechniania idei społecznikostwa i nawiązywania do programu HSP. Ich wyrazem były liczne akcje młodzieży starszej z „Operacją 1001 Frombork” na czele, której celem była odbudowa Fromborka – miasta Mikołaja Kopernika.

Tradycyjna metoda harcerska preferuje indywidualizm, czego wyrazem są stopnie, funkcje i sprawności. Ludzie harcerskiej lewicy – Jacek Kuroń, Jacek Garwacki i inni podjęli w szczepie, a potem w hufcu walterowskim, próbę wzbogacenia jej o aspekty przygotowujące młodzież do współdziałania w zespole, czemu miały służyć między innymi zdobywane zespołowo tak zwane miana (1961). Walterowcy byli środowiskiem młodzieży zaangażowanej politycznie z pozycji ideowych uosabiających przez bohatera: Karola Świerczewskiego.

Wiktora Dewitzowa w latach 1951–1954 była redaktorką naczelną gazety dziecięcej „Świat Młodych”, potem przez dwa lata redagowała pismo instruktorów harcerskich „Drużyna”. W odrodzonym harcerstwie była doradcą Naczelnej Rady Harcerstwa, a w latach 1959–64 jej członkinią. Zawodowo aż do emerytury pracowała w Centralnym Ośrodku Metodycznym jako specjalista od metodyki wychowania w domach dziecka.

DONEK

Olgiard Dewitz urodził się 22 X 1910 roku w Jenie w rodzinie polsko-niemieckiej. Matka wywodziła się ze środowiska warszawskiej polskiej inteligencji o kresowych korzeniach. W okresie zaborów po udziale w szkolnej patriotycznej konspiracyjnej organizacji, rodzice, ratując córkę przed carskimi represjami, wysłali ją do Niemiec, do eksperymentalnej szkoły, gdzie zakochała się w swym niemieckim nauczycielu, którego przodkowie mieszkali między innymi w Chełmnie na Pomorzu. Zawarli związek małżeński i wkrótce narodził się Donek, a po nim brat Jerzy.

Małżeństwo okazało się pomyłką. Po wyjeździe matki do Polski chłopcy wychowywali się w szowinistycznie nastawionej rodzinie ojca. Donek chodził do gimnazjum w Heidelbergu, a potem do szkoły w jednej z miejscowości pod Weimarem, gdzie ojciec objął posadę pastora. W wyniku sądowej rozprawy o rozwodzie decyzją niemieckiego sądu opiekę nad synami przyznano matce. Rozprawa nabrała rangi politycznej. Ojca wspierała nacjonalistyczna organizacja Deutschen Schutz und Trutzbund, która nie chciała dopuścić, by chłopcy wyjechali do Niemiec. Dotarli do Polski dzięki na poły konspiracyjnym działaniom niemieckich socjaldemokratów (Reichsbanner), którzy potajemnie przekazywali sobie chłopców od rodziny do rodziny, umożliwiając tym sposobem ich przerzut do Polski. Donek miał wtedy 12 lat.



Chłopiec uważał się za Niemca. Był wtedy emocjonalnie silniej związany z ojcem niż z matką i przyjazd do Polski, do Warszawy, przeżył jako upokarzający wstrząs. Z czasem jednak pod wpływem matki oraz szkolnego środowiska gimnazjum im. Staszica mimo pogardliwego epitetu „szwab” stał się z wyboru i przekonania Polakiem. Przeżyte rozterki wywarły wpływ na jego sympatie do komunizmu, który programem internacjonalizmu zapowiadał likwidację przyczyn tego typu przykrych doświadczeń występujących na tle różnic etnicznych. Podczas studiów był członkiem Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej „Życie” powiązanej z Komunistyczną Partią Polski.

W roku 1931 wybrał się do Niemiec do rodziny ojca, gdzie poznał swych dwu przyrodnych braci, z których jeden paradował w mundurze Hitlerjugend. W niedzielę w pustym prawie kościele, bowiem wierni bojkutowali nazistowski fanatyzm ojca, wysłuchał adresowane do niego kazania o synu marnotrawnym. Wieczorem ojciec zaprowadził go do miasta, by przyjrzał się paradzie oddziałów SA z pochodniami. Liczył na zachwyt syna, usłyszał jednak z jego ust: „Oglądałem maszerujące kohorty śmierci”. Po tygodniu jątrzących dysput, ich pożegnaniu na zawsze towarzyszyła butelka wina, by – jak to Donek określił – w swych wspomnieniach: „antagonizm wyznawanych poglądów nie niweczył uczuć wyniesionych z lat dzieciństwa” (cyt. za: „Życiorys z rysą”, Nadarzyn 1997). W tych wspomnieniach Olgierd Dewitz tak podsumował ten rozdział swego życia:

„W okresie lat młodzięcych dokonałem bezlitosnego rozrachunku z całym moim dawnym niemieckim światem. Przeorałem i wyrwałem z korzeniami zasób nagromadzonych we mnie pojęć i wyhodowanych uczuć, odciąłem się od narodowości zaszczepionej mi w latach dziecięcych, zasypałem raz na zawsze źródło wiary religijnej. Zadomowiłem się ostatecznie w autentycznej, nieznannej mi dotychczas kulturze polskiej i świadomie wkroczyłem w świat materialistycznego światopoglądu”.

Jego matka była w Polsce znana jako germanistka i autorka podręczników nauki języka niemieckiego.

Wtedy, w roku 1931, po opuszczeniu domu ojca zatrzymał się jeszcze w Erfurcie, u zaprzyjaźnionej z matką rodziny dra Jacobsohna. Miał wtedy 21 lat. Synowie doktora zaprowadzili go na zebranie niemieckiej młodzieży komunistycznej.

Gdy jako student poznał Tuchę, problemy z identyfikacją narodowa miał już za sobą. Poza związkami natury emocjonalnej łączył ich również marksistowski pogląd na świat. Gdy Tucha zaszła w ciążę, napisali rodzaj listu do jeszcze nienarodzonego dziecka, będący do pewnego stopnia programem jego wychowania. Znajdujemy w nim między innymi:

„Nie ma Ciebie jeszcze na świecie i nie wiadomo, czy będziemy Ciebie nazywać Ję-druś, czy Ewa. Często uświadamiamy sobie, że przyjdiesz między nas dwoje, małe bezbronne stworzonko i nadasz naszemu życiu nową nieznaną powagę.

W ciepłe naszego domu rozwijać się będzie Twoje słabiutkie człowieczeństwo i długi czas my dwoje stać będziemy pomiędzy Tobą a życiem.

Nie chcemy Cię chronić od cierpień i goryczy, przez które człowiek staje się człowiekiem, chcemy tylko, byś, idąc w życie, niósł w sobie szczęście istnienia większe niż troski i ból i wiarę w człowieka silniejszą od rozczarowań, jakie Cię spotkają [...].

Wiemy, że należy Ci się własny cel i własna droga. Jeżeli zubożeje nasze życie, nie wolno nam będzie bogacić go kosztem Twojego. Dlatego Twoje przyjsie nie może ograniczyć i zamknąć naszych horyzontów; powinno rozszerzać je i wzbogacać [...].

Obiecujemy Ci ugruntować w sobie wzajemne zaufanie i zrozumienie. Jakkolwiek ułoży się nasze życie, usuniemy spomiędzy nas dwojga kłamstwo i przemilczenie [...].”

Urodziła się Ewa. Gdy w latach wojny Donek znalazł się w obozie jenieckim, a Tucha zaangażowała się w działalność konspiracyjną i mogło się zdarzyć najgorsze, córkę oddała pod opiekę matki i teściowej, do których w „Liście do babć” tak pisała na temat kierunku jej wychowania:

„Altruizm, radość dawania, pomoc innym, współczucie... Prawość, odwaga, samodzielność, zaradność, poczucie obowiązku – to były dla mnie wytyczne. Chciałabym, żeby pozostały. I skromność... Nie róbcie z niej „ofiary”, „biedactwa” – możliwie prosto i jasno powiązać nasze odejście ze sprawą wspólną. Trzeba lepiej urządzać świat, żeby dzieci miały rodziców, żeby nikt nie ginął na wojnie. Sieroctwo powinno być dla niej bodźcem społecznym, wywołać czynny protest, zdrowy bunt”

W stosunku do tekstu pierwszego widzimy tu pewną różnicę. W miejsce „należy Ci się własny cel i własna droga” widzimy tu wyraźne już tego celu i drogi sprecyzowanie. Wpływ doświadczeń wojennych? A może różnica poglądów, jako że tekst pierwszy przypisywany jest Donkowi?

Jako absolwent uniwersytetu Olgierd Dewitz w polskim wojsku został podchorążym i zdał egzamin na stopień podporucznika. Jako działacz lewicowy został jednak z nominacji wyłączony i wraz z dwoma innymi politycznie podejrzanymi wezwany do „raportu pułkowego” podczas którego podpułkownik podniesionym głosem krzyczał na nich: „Zdraycy ojczyzny! Sprzedawczyki za sowieckie czerwońce. Bez honoru! Niegodni munduru oficerskiego!”

W wieku 29 lat jako polski żołnierz w randze podchorążego walczył we wrześniu 1939 roku w obronie Warszawy w „kompanii specjalnej” skupiającej „element niepewny” i dostał się do niewoli. Był przenoszony z miejsca na miejsce: Żyrardów; Sieradz; Oflag XIA w Osterode w górach Harzu; w roku 1940 Stalag VI b2 w Nadrenii Północnej Westfalii. Potem były kolejne obozy i w roku 1942 oddelegowany został z obozu z grupą 70 jeńców w randze podchorążych do pracy w firmach transportowych w Kolonii nad Renem, gdzie ostentacyjnie chodzili w wojskowych mundurach z dystynkcjami. Podchorążowie wybrali Donka na męża zaufania swej grupy.

W obozach Olgierd Dewitz zaangażował się w akowską konspirację, która między innymi utrzymywała kontakty z konspiracyjną organizacją działającą w środowisku robotników przymusowych obywateli ZSRR. Konspiracja została wykryta. Zaarrestowany w maju 1944 roku, zobowiązany został do wypełnienia obszernej ankiety. Podczas przesłuchań szef tej komórki gestapo – Kryminalrat dr Bethke zainteresował się epizodem niemieckim w jego życiorysie i nawiązał kontakt z ojcem Donka z prośbą o opinię o synu. Ojciec był w tym czasie członkiem NSDAP i pastorem odłamu protestantyzmu Deutsche Christen wyznającego rasizm i antysemityzm. Ojciec napisał: „poważny, prawdomówny, zamknięty w sobie, umysł spekulatywny, zawsze skłonny do abstrakcyjnego ujmowania spraw świata”. W następnym przesłuchaniu po pokazaniu mu pisma od ojca gestapowiec postawił szereg pytań, między innymi: „Czy zastanawiałeś się, kim naprawdę jesteś? Czy uważasz, że twoje miejsce jest w więzieniu? Czy jako człowiek czujesz się w porządku?”

W cyklu przesłuchań dr Bethke namawiał go, by powrócił na łono zdradzonej ojczyzny i okupił swą winę służbą w niemieckiej armii. Wobec bezskuteczności zabiegów pozostawiono go na pewien czas w spokoju, ale po czterech miesiącach wraz z innymi spiskowcami został wywieziony do obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie, a więc w okolice, gdzie mieszkał jego ojciec i gdzie w Weimarze mieszkała jego siostra, u której Olgierd ze swym bratem przebywali w latach pierwszej wojny światowej.

Po trzymiesięcznym pobycie w Buchenwaldzie został skierowany do filii obozu w Halberstadt (Zweiberge /Malachit), gdzie 12 kwietnia 1945 został wyzwolony przez wojska amerykańskie. Wycieńczony (ważył 30 kg) został odratowany przez amerykański personel szpitala polowego. Dalszy okres rekonwalescencji spędził w pobliskiej wsi w chłopskiej zagrodzie. Po znalezieniu się tego obszaru w granicach radzieckiej strefy okupacyjnej nawiązał kontakt z niedobitkami tutejszych komunistów, pomagając w odbudowie organizacji partyjnej w powiecie Wernigerode.

Do Polski wrócił w lipcu roku 1945, gdzie już u władzy byli jego dawni znajomi, do których zgłosił się deklarując wolę współpracy. Píše Dewitz:

„Zdążyłem już, obejrząc po powrocie do kraju plakat głoszący „Armia Krajowa – zapłaty karzeł reakcji”, ale wchodząc do gmachu Komitetu Centralnego PPR, wobec dwojga towarzyszy wysoko postawionych, lecz wtedy mi nieznanym – towarzyszki „Zofii” (Gomułkowa) i „Zenona” (Kilszko) czułem się czysty i u siebie. Towarzyszu Dewitz – powiedziała „Zofia” – słyszeliśmy o was wiele dobrego, ale musicie nam wyjaśnić jak to się stało, jak to było możliwe, że poli-

tycznie i moralnie upadliście tak nisko – kumając się z bandytami AK – z tymi, którzy strzelają do naszych?”

Po burzliwej rozmowie Zenon Kliszko stwierdził jednak, że „partia może na was liczyć”. Pierwszą próbę tego liczenia na niego odbył już następnego dnia, gdy kierownik wydziału KC, bliski jego współpracownik sprzed wojny, zażądał listy członków akowskiej obozowej konspiracji, „jako agentów i dywersantów”. Dewitz odmówił. Pracę otrzymał w ówczesnej Centralnej Komisji Planowania Gospodarczego, gdzie z czasem po jej reorganizacji był współpracownikiem Hilarego Minca. W placówce tej po kolejnych przeobrażeniach pracował do emerytury.

Moje kontakty z Dewitzami

Osobistą znajomość z Wiktorią Dewitzową zawarłem na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Prowadziłem wtedy w Zielonej Górze szereg harcerski imienia Kornela Makuszyńskiego, w skrócie Makusyny, w którym rozwinęliśmy akcję „podwórko”, podejmującą jako zadanie wychowawcze wywieranie wpływu zastępów harcerskich na spontaniczne zachowanie dziecięcych band podwórkowych. Nasze działania w tej dziedzinie spotkały się z bardzo żywym odzewem prasy harcerskiej. Tucha była w tym czasie członkinią Komisji Pedagogicznej Naczelnej Rady Harcerstwa i wraz z grupą czołowych pedagogów harcerskich Ireną Chmieleńską i z Jackiem Kurokiem pewnego dnia zjechała do Zielonej Góry, aby na miejscu zapoznać się z formami realizacji naszego programu: „Niech harcerstwo przewodzi podwórkom”.

W tym czasie nie miałem zielonego pojęcia o specyficznych przedwojennych doświadczeniach harcerstwa żeńskiego i do koncepcji pracy drużyn z dziećmi w miejscu zamieszkania oraz zorientowania wychowawczej pracy drużyn na nurt społecznikowski dochodziłem sam. Zarówno z inspiracji lektur Stefana Żeromskiego jak i marksizmu, połączonymi z pedagogiczną intuicją mocno osadzoną w moich osobistych dziecięcych doświadczeniach wodza rówieśniczej bandy podwórkowej i z moich doświadczeń harcerskich wyniesionych z Wielunia i Witnicy, a wszystko razem połączone z obserwacją zachowań moich zielonogórskich harcerzy. W okresie studiów historycznych poza jednym semestrem z historii oświaty, z pedagogiką jako nauką kontaktów nie miałem. Znałem jedynie metodyczne książki skautowo-harcerskie ze znakomitym „Antkiem Cwaniakiem” Aleksandra Kamińskiego na czele, dalej „Mośki, Jośki, Srule” Janusza Korczaka, kultowe powieści pedagogów mojego pokolenia – „Poemat pedagogiczny” Antoniego Makarenki oraz „Timur i jego drużyna” Arkadego Gajdara. Także kilka prac z ogólnej literatury pedagogicznej. Dopiero po latach, gdy zostałem członkiem zespołu teoretyków harcerstwa kierowanego przez Olgierda Fietkiewicza, redaktora naczelnego redakcji miesięcznika „Harcerstwo” i poznałem dzieje harcerstwa żeńskiego dostrzegłem źródła sympatii okazywanej mi do końca życia przez Wiktorię Dewitzową, Zofię Zakrzewską i Irenę Chmieleńską. To, co robiłem, okazało się być nieuświadomioną wówczas kontynuacją środowiskowego, społecznikowskiego nurtu doświadczeń harcerstwa żeńskiego, w którym one od lat przedwojennych odgrywały tak istotną rolę.

Potem przez lata widywaliśmy się na przeróżnych naradach i seminariach, w szczególności podczas debat na temat historii, współczesności i przyszłości harcerstwa, organizowanych przez zespół teoretyków i harcerską szkołę instruktorską młodzieży starszej „Perkoz” na Mazurach. Tutaj Dewitzowa między innymi wyjaśniała nam powody złożenia swego podpisu na decyzji o likwidacji ZHP słowami: „socjalizm był dla mnie ważniejszy niż harcerstwo”. Na pytanie: co znaczą dziś słowa „być harcerzem”? – odpowiedziała: „być lepszym”, co Zofia Zakrzewska uzupełniła słowami: „być harcerzem to uczestniczyć w życiu społecznym na zasadzie transgresji rozumianej jako przekraczanie granicy przeciętności w czynieniu dobra”.

Po opuszczeniu Zielonej Góry i krótkim pobycie w Poznaniu w kręgu pedagogów nowatorów skupionych wokół profesora Heliodora Muszyńskiego na początku lat 70. podjąłem pracę w Centralnej Szkole Instruktorów Harcerskich w Warszawie, a następnie w Głównej Kwaterze Harcerstwa. W tym czasie razem z Tuchą i kilkoma innymi harcerskimi instruktorami dojeżdżaliśmy do Poznania na seminarium doktoranckie z pedagogiki prowadzone przez profesora Heliodora Muszyńskiego. Profesor, instruktor harcerski z drugiej połowy lat 40., cieszył się sławą nie tylko twórcy systemu wychowawczego szkoły podstawowej, ale także metodologa nowatora, który lansował nowy model uprawiania pedagogiki oparty między innymi na metodach statystycznych. Chociaż Dewitzowa w tym okresie przekroczyła już sześćdziesiątkę i nie zamierzała robić doktoratu, wciąż zachowywała jednak postawę otwartości na nowatorstwo w pedagogice.

Po kilku latach pracy w Warszawie z żoną Anną wyjechaliśmy w Bieszczady, by tam, w Lesku, w gminnej szkole zbiorczej kontynuować doświadczenia zielonogórskie i poznańskie z prowadzeniem szkoły osadzonej w lokalnej społeczności i ukierunkowanej na rozwijanie indywidualności uczniów zgodnie z dewizami: „każdy żołnierz nosi buławę marszałkowską w plecaku” oraz „człowiek samookreśla się w zespole”, co było Dewitzowej jako pedagogowi bardzo bliskie.

Tucha i Donek, zapaleni krajoznawcy, preferowali poznawanie kraju przy pomocy kajaków. W czasie gdy mieszkaliśmy w Lesku, Dewitzowie swą bazę uprawianego wodniactwa urządzili sobie w Bieszczadach w jednej z wsi położonej nad zalewem Solińskim i w sezonie letnim bywali naszymi gośćmi. Bywaliśmy także u nich, gdzie wspólnie kajakami wyprawialiśmy się na zalew, pływając nad wierzchołkami drzew zatopionego lasu i podwodnymi ruinami dawnych osad. Tucha bardzo się interesowała tym, co robiliśmy oraz jak nasze poczynania są przyjmowane przez grono nauczycielskie i środowisko.

Wtedy poznałem Olgerda. Był człowiekiem bardzo sympatycznym, skromnym, wyciszonym, rzadko zabierającym głos, a jeśli, to swe zdanie wyrażał w sposób stonowany, raczej pozbawiony silnego emocjonalnego zaangażowania. Choć jak wspominała jedna z osób często u nich bywająca, widziała go w latach 50. bardzo wzburzonego w rozmowie z córką na tematy polityczne. Teraz, ponad dwadzieścia lat później, w takim stanie emocjonalnego napięcia nigdy go nie widziałem. Gdy był przez żonę o coś pytany (a w pytaniu zawierała się zazwyczaj także odpowiedź), reagował zazwyczaj słowami: „tak, kochanie”. Ten jego sposób bycia powtarzał się, ilekroć potem ich razem spotykałem. Była to w ich wzajemnych stosunkach formuła znakomita, którą traktowałem jako wyraz jego życiowej mądrości: poszanowania jej

pedagogicznych zainteresowań, na temat których się raczej nie wypowiadał i pełnego oddania jej steru nawy życia rodzinnego. Godził się na to, by jak to powiadają Niemcy, w życiu rodzinnym „osobą nosząca spodnie” była ona. Jego azylem była przyroda, kajak, aparat fotograficzny i poezja. Był zafascynowany poezją Jerzego Harasimowicza.

Wydawcy wspomnień Donka znaleźli w jego papierach niepodpisane rękopisy wierszy. W tym ten o zimie:

„Góry w niezrównanych iskrzących kołpakach odpływają prosto w rozwartą paszczę widnokregu o kolosalnym błękitnym podniebieniu. Po nie istniejących drabinkach procesje siwych świerków idą pomalutku do nieba. Przez niepoczytalne śniegi leżące na wznak mkną sanki wraz z końmi grającymi na dzwoneczkach. Maleńcy ludzie mającą tu i tam na białych, oślepiłych kilometrach... Jest głucha północ południowego styczniowego słońca... Tuż pod ziemią wszystko jest już zapięte na ostatni guzik. Bataliony liliowych krokusów są już gotowe do pierwszego desantu!”

W przekonaniu, że są to teksty Dewitza, zamieszczono je w wydaniu pierwszym książki pod jego nazwiskiem. Rychło jednak pomyłkę dostrzeżono i w wydaniu drugim wiersze zostały usunięte, a autor przeproszony.

Tucha była urodzonym wodzem i organizatorem. Jasno formułowała swe poglądy i oceny, ale w licznych dysputach mimo częstych kategorycznych sformułowań nie dostrzegłem w niej chęci narzucania swoich poglądów i nie przypominam sobie, by kiedykolwiek ich broniła w zaciętrzewieniu. Miała talent w dostrzeganiu problemów i stawianiu istotnych pytań. W swej przepaścistej torbie chlebaka nosiła zawsze notatnik i kolorowe kredki. Gdy się u niej zjawiałem miała zwyczaj rozpoczynania rozmowy od wynotowania spraw, które chciała, byśmy omówili, kolorami kredek, a później mazaków podkreślając wagę sprawy i odfajkowując tematy omówione. Podobnie postępowała podczas seminaryjnych debat.

W leskiej szkole byłem dyrektorem, a Ania nauczycielką historii. Mikrokulturę szkoły i jej system wychowawczy budowaliśmy w oparciu o szeroko pojętą tożsamość tamtego regionu, w tym między innymi także na pamięci nieszczęścia tutejszych Łemków i Bojków wypędzonych w ramach akcji „Wisła”. Przeciwwstawialiśmy się emocjom antyukraińskim ujawniającym się w środowisku, co między innymi przejawiało się w polityce polonizowania ukraińskich nazw miejscowości, burzeniu opuszczonych cerkiewek i antagonizmie etnicznym, występującym także w szkole wśród dzieci oraz części nauczycieli. Działania nasze spotkały się ze stłumionym pomrukiem lokalnych nacjonalistów, także ulokowanych w powiatowym Komitecie PZPR. Wrogość wobec mnie znalazła nagle ujście, gdy pewien warszawski urzędnik Głównej Inspekcji Szkolnej upatrzył sobie naszą szkołę jako wczasowe tanie lokum dla swej rodziny. Oburzony, że jako dyrektor nie przygotowałem należycie klasy szkolnej na pokój gościnny, powiedział mi: „pan mnie popamięta”. Po dwóch tygodniach zostałem ze stanowiska dyrektora odwołany.

W mojej obronie wypowiedziała się część nauczycieli i dziennikarka „Kultury” Ewa Berberiusz. Wkrótce redakcja tego warszawskiego tygodnika rozpoczęła kam-

panię walki z nieprawidłowościami w życiu publicznym i nadużywaniem władzy pod hasłem „Sprawa nie tylko Czarnucha”. Do redakcji zaczęły napływać listy w mojej obronie. Także od Wiktorii i Olgierda Dewitzów. Tucha i Donek wykorzystali w tej mojej sprawie swoje wpływy w Komitecie Centralnym PZPR, w sejmie oraz środowisku instruktorów harcerskich oraz innych pedagogów. W sprawę zaangażował się między innymi Aleksander Kamiński „Kamyk”, prof. Heliodor Muszyński i Andrzej Janowski, późniejszy solidarnościowy wiceminister oświaty. Pojawiły się także w mojej obronie teksty redakcyjne i listy czytelników w kilku innych pismach, a w radiu temat podjął i drążył red. Tadeusz Zimecki w audycji „Muzyka i Aktualności”. W wyniku starań Dewitzów powołano dwie ministerialne komisje do zbadania mojej sprawy (materiały pierwszej zaginęły). Wezwany zostałem do Warszawy do ministra Jerzego Kuberskiego, który mi zakomunikował, że zostaję przeniesiony na równorzędne stanowisko w województwie siedleckim, gdzie I sekretarzem KW PZPR był w tym czasie były naczelnik ZHP Wiktor Kinecki a kuratorem znany mi wybitny instruktor zachowy.

Wiele osób zaangażowało się wtedy w mojej obronie, którym jestem bardzo wdzięczny, wiodącą jednak rolę w tej akcji odegrali Tucha i Donek.

Podczas naszego pobytu w Bieszczadach wybraliśmy się któregoś roku na rodzinne wczasy do Zakopanego. „Kaowiec” dla urozmaicenia programu wypoczynku poprosił na prelekcję przedstawiciela Tatrzańskieo Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego. Ku naszemu zupełnemu zaskoczeniu dowiedzieliśmy się od niego, że w powojennych biednych latach TOPR-u milowy krok w swym rozwoju organizacja ta zawdzięczała Wiktorii i Olgierdowi Dewitzom. Opowiadał, jak to ich córka Ewa – taterniczka w roku 1957 wyjechała do Szwajcarii na międzynarodowe spotkanie alpinistów. Gospodarze dwoma awionetkami chcieli gościom pokazać Alpy z góry. Samoloty się zderzyły i wszyscy pasażerowie zginęli. Była wśród nich Ewa. Rok potem całą kwotę odszkodowania wypłaconego przez firmę ubezpieczeniową w wysokości 20 tys. franków szwajcarskich Dewitzowie przekazali TOPR-owi. Pozwoliło to na zakup za granicą najnowocześniejszego sprzętu ratowniczego, za co TOPR-owcy odwzajemnili się nadaniem Wiktorii i Olgierdowi członkostwa honorowego swej organizacji. Nigdy dotąd o tym dramatycznym rozdziale ich życia i pięknym gościu nie słyszałem.

Gdy zamieszkaliśmy w Niwiskach pod Siedlcami i zdarzała się potrzeba wyjazdu do Warszawy, zarówno ja jak i moja żona znajdowaliśmy gościnny nocleg u Dewitzów na Żoliborzu, przy ulicy Krasińskiego w ich niewielkim mieszkaniu, skromnie urządzonego sosnowymi meblami rodem ze spółdzielni „Ład”. Mieszkali w budynku Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej założonej w roku 1921 z inicjatywy między innymi socjalistów Stanisława Tołwińskiego, Teodora Toeplitza, Adma Pruchnika i komunistów Jana Hempla, Stanisława Szwalbe i Bolesława Bieruta, którego żona – jak to opisał mieszkaniec tego osiedla Jarosław Abramow w książce „Lwy mojego podwórka” – była przed wojną woźną przedszkola do którego chodził.

Bywałem tam także zapraszany na spotkania zespołu oświatowo-wychowawczego zorganizowanego przez Tuchę. Było to lobby lewicowych pedagogów zorientowanych na wywieranie na władzę nacisku wymuszającego reformy demokratyzujące panujący system, wierząc w jego reformowalność. W roku 1980 zespół ten włączył

się w ramy szerszego ruchu warszawskich naukowców i publicystów skupionych w nieformalnej grupie zwanej Konwersatorium Doświadczenie i Przyszłość. Bywali u Dewitzów: późniejsza pani wiceminister oświaty Anna Radziwił, nauczycielka historii utrzymująca stałe kontakty z „czarną jedynką” – środowiskiem instruktorów harcerskich opozycyjnie nastawionych do panującego systemu skupionych przy drużynie harcerskiej działającej w Warszawie przy liceum im. T. Reytana; bywał wywodzący się z czarnej jedynki także wspomniany wyżej późniejszy wiceminister oświaty Andrzej Janowski; spotykałem tam walterowców Marka Żelazkiewicza oraz Aleksandra Musiała i Jacka Garwackiego, obaj byli związani z pedagogicznym Centralnym Ośrodkiem Metodycznym i pismem „Wychowanie Obywatelskie”; bywała Zofia Zakrzewska; prof. Heliodor Muszyński i dr Zygmunt Dąbrowski – teoretyk wychowania technicznego, niegdyś Komendant Centralnego Harcerskiego Ośrodka Technicznego przyjeżdżający w latach 60. na obozy makusynów do Siedliska i inni.

W sierpniu 1981 roku w wyniku rodzinnych komplikacji w roli życiowego bankruta znalazłem się w Witnicy. Tu raz jeszcze Dewitzowie w tej trudnej dla mnie sytuacji okazali wobec mnie swe przyjazne uczucia.

Pod koniec lat 70 Tucha i Donek zmienili swoją kajakową przystań i z Bieszczadów przenieśli się na pogranicze Pomorza i Lubuskiego, gdzie od początku lat 80. aż do śmierci Donka 5 X 1983 roku oraz Tuchy 28 VI 1991 roku każdego lata zjeżdżali na skraj Puszczy Drawskiej nad jezioro do wsi Łasko pod Bierzwnikiem. Wraz z nimi pojawiała się tutaj cała „kolonia” ich warszawskich przyjaciół z Zofią Zakrzewską z siostrą, Ryszardą Zürnową z Głównej Kwatery ZHP, prof. Antoniną Gurycką z Uniwersytetu Warszawskiego i innych osób z kręgu przyjaciół i rodziny.

Po tragicznej śmierci córki Ewy Dewitzowie przygarnęli do swego domu dwie córki zmarłej siostry Tuchy. Także i one tutaj przyjeżdżały. Obserwowałem Tuchę w roli babci rozkochanej w kilkuletnim „przyszywanym” wnuczku gdy jedna z nich pojawiła się tutaj ze swoim synkiem. Poza nimi Dewitzowie wzięli na wychowanie z domu dziecka dziewczynkę, Teresę Bochenek. Gdy dorosła, zbudowała w Łasku letni domek, by Dewitzowie podczas letnich tu pobytów nie musieli wynajmować pokoiów na poddaszach. Teraz ona kultuwuje tutaj tradycje warszawskich letniskowych przyjazdów do Łaska.

Przyjazd Dewitzów w dorzecze Drawy zbiegł się z potężnym ruchem narastającego społecznego odrzucenia i potępienia dorobku Polski Ludowej zapoczątkowanym przez ludzi KOR-u i innych organizacji opozycyjnych, w które tak silnie zaangażowali się także tacy lewicowi instruktorzy harcerscy, jak Jacek Kuroń i czterech innych walterowców oraz kilku instruktorów z czarnej jedynki z Antonim Macierewiczem na czele. Z czasem w ruchu opozycyjnym wypłynęli wywodzący się ze środowiska czarnej jedynki: Andrzej Celiński, Ludwik Dorn, Andrzej Janowski, Piotr Naimski, Michał Kulesza i Wojciech Onyszkiewicz. Potem doszedł do tego masowy bunt robotników zrzeszonych w związku zawodowym „Solidarność”. Nastąpił okres totalnej negacji Polski, z którą Dewitzowie się identyfikowali. Był to dla nich, podobnie jak i dla mnie, cios podważający fundamenty naszej dotychczasowej życiowej orientacji, co rodziło stan intelektualnej dezintegracji.

Na zaproszenia Tuchy przez kilka lat przyjeżdżałem do Łaska, by w rozmowach z nią i z Zofią Zakrzewską dociekać przyczyn zaistniałego stanu i podejmować trud przewartościowań naszych dotychczasowych definicji sytuacji w kraju. Któregoś roku zastałem u Tuchy dawnego redaktora „Nowych Dróg” Romana Werfla i „Księcia” czyli profesora H. Tucha powiedziała mi że profesorowi nadała tę ksywkę w latach, gdy była naczelniczką harcerek, a on był oddelegowany z ramienia tajnych służb do śledzenia jej pracy. Z czasem się zaprzyjaźnili. Byłem świadkiem, jak podczas spaceru z Tuchą doszło między obu panami do ostrych spięć, z których prof. H. ujawnił się jako zapalony zwolennik „Solidarności”, a redaktor jako twardy obrońca PRL-u.

W stanie duchowej dezintegracji jeździłem do Poznania do rodziny instruktora harcerskiego Jurka Hamerskiego, w którego domu ukrywał się znany poznański opozycjonista, późniejszy minister – koordynator służb specjalnych w rządzie Jerzego Buzka – Janusz Pałubicki. Tutaj z Jurkiem i jego żoną Krystyną oraz w gronie ich znajomych godzinami toczyliśmy gorące spory i tu miałem dostęp do podziemnych wydawnictw. W tym do „Głównych nurtów marksizmu” Leszka Kolakowskiego oraz do eseju wybitnego znawcy i krytyka marksizmu, poznańskiego filozofa Leszka Nowaka zatytułowanego „Klasa trójpanów”. Ich lektury ukazały mi w wymiarze teoretycznym istotę politycznego zła panującego w Polsce ustroju, którego wyidealizowany obraz tak silnie się zagnieżdził w strukturze poznawczej mego umysłu. Po wstrząsach lat 1956 i 1968 był to na poziomie poznawczym ostateczny cios w gmach pojmowania świata przy pomocy siatki pojęć zaczerpniętych z marksizmu.

Narastała fala totalnego ataku na to wszystko, co miało rodowód peerlowski i co dla nas, ludzi Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, było powodem do dumy. Rozbiciu uległ monolit harcerstwa, dzieląc się na dwie zantagonizowane organizacje ZHR i ZHP, pierwsza programowo, druga w praktyce rezygnująca ze swej laickości. Pojęcie „komunista” w wyniku stoczonej medialnej bitwy o nową definicję przeszłości spod znaku czerwonego sztandaru uległo procesowi zdemonizowania, stając się synonimem zbira i mordercy. Tak jak „Zofia” Gomułkowa pytała Donka w roku 1945: „Jak to było możliwe, że politycznie i moralnie upadliście tak nisko, kumając się z bandytami AK?”, tak teraz, gdyby żył, usłyszałby zewsząd to samo, tylko z odwróconym znakiem wartości. Tucha powiedziała kiedyś: „Dobrze, że Donek tego nie dożył”. O jego związkach z marksizmem Ryszard Matuszewski pisał:

„To, co Donka odróżniało dość zdecydowanie od typu intelektualistów poszukujących prawdy w marksistowskich teoriach, to znacznie mniej spekulatywny charakter jego wierzeń i marzeń. To była bardziej jakaś aprioryczna wiara, że tą drogą można ludzkość uszczęśliwić, a wraz z nią jakby niechęć przyjęcia do wiadomości czegoś, co by tę wiarę nadwątląło, informacji, które mogły nią zachwiać” (cyt. za: Gazeta Wyborcza 25-26 XI 2006 s. 27).

Runął w gruzy gmach Polski Ludowej, w którego budowę i ciągłe modernizacje i remonty Wiktor i Olgierd Dewitowie z najszlachetniejszych pobudek się angażowali całym życiem. Na początku lat 90. spytałem ją, czy uważa się za komunistkę? Odpowiedziała: „Nie”. Za dużo skrywanego zła ujrzało światło dzienne, zbyt wielu

bliskich stanęło po przeciwnej stronie barykady, zbyt wiele ważkich argumentów padało ze strony krytyków ustroju, by ona, osobą tak inteligentną, nadal w pełni mogła identyfikować się ze światem minionym. Do końca czuła się jednak człowiekiem społecznej i politycznej lewicy.

Warszawa stawała się dla Tuchy i Donka tym, co psycholog wychowania określa pojęciem „przestrzeni karania”. Była miejscem doznań przykrych. Tu w Łasku znaleźli się w środowisku ludzi wobec nich życzliwych. Kapłan miejscowego kościoła odprowadzając latem 1991 roku nad jej trumną katolicki ceremoniał pogrzebowy powiedział: „Zmarła Wiktoria nie była wierzącą w rozumieniu Kościoła, ale w postawie gotowości spieszenia innym z pomocą i umiłowaniem bliźniego swego jak siebie samego zbliżyła się do Boga”. O jej opiekuńczej postawie wobec tutejszych dzieci i serdeczności wobec mieszkańców mówi się w Łasku jeszcze dzisiaj: „Pani Dewitzowa myślała tylko o innych”, a o Donku: „dokarmił bezpańskie psy naszej wioski”.

Łasko, dziś polska wieś, nosząca do roku 1945 nazwę Althütte, było wcześniej przez ponad siedemset lat we władaniu Niemców. Donek zrodzony i w okresie dzieciństwa wychowywany na niemieckiej ziemi, znalazł tu po śmierci w roku 1983 także miejsce częściowego rozwiązania jednego z tak istotnych w jego życiu dylematów.

Piękne, w drewnie wyrzeźbione przez Zbigniewa Tracza ich nagrobki, wyróżniają się z lasu betonowych i ostatnio coraz częściej marmurem obudowanych grobów. Marta i Zbigniew Traczowie niegdysiejsi sąsiedzi Dewitzów z nimi zaprzyjaźnieni, są dziś w Łasku życzliwymi strażnikami dobrej o nich pamięci.

W „Gazecie Wyborczej” (3 XII 2006) ukazał się esej Vaclava Havla zatytułowany „Widziałem szlachetnych komunistów”. Mogę to powtórzyć, ja też widziałem. Dla Havla był to František Kriegel. Dla mnie Wiktoria i Donek Dewitzowie. Włodzimierz Lenin napisał gdzieś, że w szeregi komunistów jedni ludzie zlatują się na skrzydłach nienawiści a inni na skrzydłach miłości. Tuchę i Donka unosiły nad ziemią oba skrzydła miłości. Miłości do sprawy, ale widzianej przez pryzmat człowieka. Każdego człowieka.

Swój obszerny esej Havel kończy refleksjami, którym nadał formę pełnych rozterki pytań:

„Czy ludzie posłuszni tylko własnemu sumieniu albo podstawowym zasadom moralnym mogą w dzisiejszym skomplikowanym świecie zajmować się czynnie polityką? Czy też muszą zawsze, chociażby częścią swojej istoty, należeć także do świata ideologii, doktryn, wyznań politycznych i powszechnie przyjętych dogmatów i stereotypów? Czy wystarczy, by wierzyli w życie, dobo i własny rozum, czy też muszą równocześnie wierzyć w coś mniej czystego i prostego, jak na przykład w swoją własną partię polityczną? Czy ludzie prawdziwie czystego serca i niezależnego ducha zdecydowani kierować się tylko nimi mogą zdobyć prawdziwą władzę w świecie sekciarskich interesów, irracjonalnych namiętności „realiów politycznych”, zlaknionych władzy ideologii i ślepych buntów?”

Nim Waclaw Havel pytania te sformułował, nie dając na nie odpowiedzi, Olgierd Dewitz odpowiedź na część z nich zawarł w wierszu jemu przypisywanym, znalezionym w jego teczce dokumentów osobistych:

„Posłanie do kolegów,
 którzy chwilowo
 mają do tyłu:
 jeśli wobec własnego sumienia
 jesteście fair
 jeśli działania wasze pchają ten zgnuśniały świat do przodu
 chwala wam za już i jeszcze większa za to co zrobicie jutro
 dialektycznie rzecz biorąc
 gniew idiotów winien być barometrem
 słuszności poczynań
 umundurowani funkcjonariusze nadbudowy
 ciskać się mogą w bezsilnym gniewie
 i co najwyżej wydawać zakazy rozpowszechniania
 niebłagonadiożnej piosenki przyszłości
 Wielki Sternik prowadzi statek
 ku nieuchronnym mieliznom idei
 wie wszystko najlepiej i przez to zginie
 wy – co stoicie w kolejce sztafety pokoleń
 miejcie oczy i uszy otwarte
 ruszając z posad bryłę ziemi
 szukajcie przyjaciół wśród tych
 którzy chwilowo mają do tyłu”

W ostatnim akapicie swego eseju Vaclav Havel skonstatował z goryczą:
 „Dzisiejsi młodzi Czesi i Słowacy zupełnie nie zdają sobie sprawy z tego, że mieliśmy w tym kraju polityków – nawet komunistycznych – którzy byli normalnymi, godnymi szacunku ludźmi, i że los niektórych z nich był naprawdę tragiczny”.

Czy odnosi się to tylko do młodych Czechów i Słowaków?